



Wychodzi we  
Lwowie z końcem  
każdego miesiąca.

Wkładka roczna  
z prenumeratą  
wynosi 1 zł. 20 ct.

Dla nanczycieli  
pow. i uczniów  
tylko 70 cent.  
z przesyłką 82 ct.

## MIESIĘCZNIK

galicyjskiego

**TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.**

Administrcya  
i ekspedycya  
we Lwowie pl.  
Bernardyński 7,  
dokąd wszystkie  
pisma — zaś  
wkładki i prenu-  
meraty adreso-  
wać należy:  
J. Musil ul. Kar.  
Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt.

REDAKTOR: DR. JÓZEF LIMBACH.

### Nędza starych koni.

Najbardziej pożałowania godnym z pomiędzy wszystkich naszych pożytecznych zwierząt domowych jest nasz szlachetny i dobry koń, który wyświadcza człowiekowi z bezprzykładną cierpliwością największe przysługi a z wdzięczności za to musi doznawać większych cierpień, aniżeli jakiegokolwiek inne zwierzę domowe. Dopóki koń jest młody i silny, stosownie do wartości, jaką przedstawia, pielęgnujemy go i oszczędzamy, nawet niekiedy zanadto pieścimy. Im bardziej się starzeje, im niezdolniejszym staje się do pracy, im większej pieczy, większego starania i oszczędzania potrzebuje, tem żywimy go coraz gorzej, tem mniej dbamy o niego, tem gorzej z nim się obchodzimy i do coraz cięższej zmuszamy go pracy. Z żadnem zwierzęciem nie obchodzimy się tak źle jak z tym dobrym, wiernym i cierpliwym koniem.

Przypatrzmy się staremu, kulawemu, częstokroć od reumatyzmu dręczonemu i ranami pokrytemu koniowi, jak mu sztywne nogi drżą, jak smutnie zwiesza swą głowę, jak natęża wszystkie swe sily, aby ciężką, kamieniami lub cegłami naładowaną furę naprzód uciągnąć! Jakiż to obraz nędzy przedstawia takie zwierzę! Każdy krok, jaki uczyni, jest dlań udręczeniem, bolem nawskróś

go przenikającym. Jego dawniej tak piękny kark jest sztywny; z jego zamglonych oczu tryska tylko boleść i niemy smutek! Dobywa z swego znędniałego ciała z ostatecznym wysiłkiem ostatnich sił. nogi mu drżą, muszkuły drgają, a jednak nie może, mimo największej chęci, wyciągnąć przeladowanego wozu, którego koła zagrzezły głęboko w piasek, błoto lub gruz kamienny. Zamiast użyzyć mu chwili odpoczynku, zamiast obdarzyć go kilku przyjacielskimi i życzliwymi słowy, na które jest bardzo czuły, zamiast usunąć z drogi to, co głównie na miejscach budowy i zładowywania ciężarów utrudnia poruszenie wozu, niemiłosierny parobek okłada go nieustannie biczyskiem to po nogach, głowie, nozdrzach, to po brzuchu, lub nawet kopie go po brzuchu, a koń biedny aż upada na ziemię i pod bolesnymi ranami częstokroć ginie.

Kto widział to biedne zwierzę w ten sposób dręczone przez całe miesiące, ba nawet przez cały szereg lat, przyzna, że nie trzeba być wcale czulego i miękkiego serca, aby odczuć najgłębsze współczucie nad nieszczęśliwym stworzeniem i za niem się ująć.

Gdyby koń umiał wyć i jęczeć, jak inne zwierzęta, ulice naszych miast i miasteczek, gościńce i drogi kraju naszego brzmiałyby strasznie od jęku boleści tego najniebezpieczniejszego stworzenia.

Do wszystkiej tej biedy takiego starego, do ostatniej kości zmaltretowanego konia przylacza się jeszcze i to, że nie może nawet w nocy położyć się i wypocząć, bo sztywne członki jego nie pozwalają mu tego.

Wie dobrze, że nie może powstać, gdy się położy, a więc spi a raczej drzymie w postawie stojącej. Jak nędzne jest życie takiego zwierzęcia, dowodzi ta okoliczność, że gdy nadejdzie dlań chwila odpoczynku i paszy, nie może wiele jeść; z powodu wzruszenia bowiem, zmęczenia i bólu znajduje się w stanie febrycznym, gorączkowym. Dopiero po upływie kilku tygodni je chętnie i obficie.

Zaiste prawdziwe miano nadał koniowi jeden pisarz francuski: „*Koń to męczennik pracy*“. Cierpiąc głód, marznąc, boleściami dręczony, do bezgranicznego wysiłku zmuszany, okrutnie bity, pozbawiony odpoczynku, dla ciała ze znużenia i zmęczenia drgającego musi biedny koń znosić te cierpienia całymi latami,

i wreszcie zapomniany i porzucony ginie wśród najokropniejszych mąk! — O ty biedne, nieszczęśliwe zwierzę! Jaką nagrodę za twoją wierność, twoją cierpliwość, za twoje wielkie, ludzkości wyświadczone usługi odbierasz!

*Prof. Br. G.*

### Zakaz rytualnego rzeźnięcia bydła w Szwajcaryi.

Wiadomem jest, że Izraelici zabijają bydło według pewnych przepisów, które przedewszystkiem każą zwierzę ostrym, szerokim, dostatecznie długim nożem zarzynać, jednak bez poprzedniego ogłuszenia zwierzęcia celem pozbawienia go przytomności. Przy takim zarzynaniu następuje śmierć przez uduszenie i świadomość zupełna stanu, więc i bólu przenikliwego trwać musi 2—5 minut, więc czas dostatecznie długi, by śmierć uczynić bardzo bolesną.

Od dłuższego już czasu rozpoczęły Towarzystwa w różnych krajach Europy agitacją skierowaną przeciw takiemu barbarzyńskiemu postępowaniu przy biciu bydła. Że postępowanie rzeźników, czyli szechterów żydowskich nie tylko jest rzeczywiście barbarzyńskie i okrutne ale wprost także i dla zdrowia konsumentów szkodliwe, można przekonać się, przypatrzwszy się, jak taki szechter bierze się do rzeczy. Szeregiem leżą na ziemi związane woły, lub cielęta, szechter pośliniwszy nóż przeżyna dwoma posunięciami szyję zwierzęciu i nie obcierając noża, zabija tak samo dalsze sztuki, a nakoniec bierze trochę wody do ust i oplukuje nią nóż z krwi. Potem włożywszy rękę przez otwór szyjny do klatki piersiowej bada stan tejże, czy odpowiada przepisom talmudu i czy zabite zwierzę może być uważane za „koszerne”. Tak samo bada jeszcze nadęte płuca, zwilża je w kilku miejscach śliną, i po tej czynności sprawa rzeźnięcia jest skończoną.

Że takie plucie na nóż i płuca, że naduwanie je ustami, przyczynić się może do przeniesienia zaraźliwej choroby z jednego miejsca na drugie lub na człowieka nie ulega żadnej wątpliwości. Wiemy, że Żydzi niższych warstw, do których szechterzy należą, wcale do czystości nie mają zamiłowania, a mieszkania ich są zwyczajnie stekiem brudów i źródłem rozmaitych chorób. Jaką poważną przyczyną do obawy, że różne choroby zakaźne przez taki bezmyślny sposób zabijania zwierząt do pożywienia prze-

znaczonych na szerokie warstwy ludności przedostać się mogą! A zauważać tu należy, że mięso zwierząt, uznanych przez szychterów za nieczyste „trefne“, nie bywa niszczone, lecz za drobnym opustem rzeźnikom chrześcijańskim sprzedawane, a nawet i ze zwierząt czystych „koszernych“ niektóre części, przez żydów nigdy nie jadane, także na ladę tychże się dostają.

Pierwsza była Saksonia, która zwróciła swą uwagę na taki bezrozumny, nielitościwy sposób rzeźniania bydła. Rząd tego kraju wehodząc w myśl życzeń Towarzystwa ochrony zwierząt wydał w zeszłym roku zakaz zabijania zwierząt w sposób dotychczas przez izraelitów praktykowany i polecił zabijać je tylko po poprzednim odurzeniu. Ulegając jednak wkrótce natarczywym naleganiom stron interesowanych wydelegował ze swego ramienia komisję, by zbadała raz jeszcze dokładnie całą uprawę i wnioski odpowiednie przedłożyła. Zrobiono próbne rzeźnianie przed ową komisją i użyto w tym celu 4 wołów. W sprawozdaniu swem oświadczyła rzeczona komisya, że przygotowania przedwstępne do rzeźniania rytualnego są połączone z większymi męczarniami, niż wtedy gdy się ma odbyć ogłuszenie przed zabiciem. Dalej, że przy ogłuszeniu następuje natychmiast utrata świadomości, więc i bólu, a przy rzeźnianiu rytualnem jednak, gdzie śmierć następuje dopiero przez uduszenie i upływ krwi przy nienaruszonej funkcji mózgowej, trwa u zwierzęcia świadomość swego stanu od 2—5 minut, czas aż nadto długi, by ten sposób śmierci jednym z bardzo okrutnych uczynić, a że tak jest, świadczy o tem zachowanie się zwierzęcia przy powolnej utracie krwi przez cały przeciąg trwania tej operacyi aż do śmierci, która nieraz dopiero po 10 minutach następuje. Sprawozdanie zakończono oczywiście wnioskiem odnośnym co do cofnięcia zakazu. Tym sposobem stwierdzono urzędownie, że rytualne rzeźnianie bydła nie odpowiada wcale dzisiejszym wymogom etycznym.

Podobny obrót wzięła sprawa ta w Szwajcaryi. Tutaj rozpoczęły walkę kantory berneński i argawski, które pierwsze wydały zakazy rytualnego rzeźniania. Wobec tego wniosły rekurs kahaly żydowskie do Rady związkowej, twierdząc, że taki zakaz narusza jedno z kardynalnych praw zagwarantowanych konstytucyą. Rzeczywiście Rada związkowa przychyliła się po rekursu i zniosła zakaz. Nie pomogło odwołanie się do Zgromadzenia kantonowego. Obywatelom dobrej woli pozostawała tylko jedna

droga, zażądać w legalnej drodze uchwały dotyczącej ustawy przez ogólne głosowanie. By jakiś nowy paragraf mógł być w ustawach konstytucyjnych przyjęty, zażądza Rada związkowa powszechnie głosowanie, a to na petycyę podpisaną przynajmniej przez 50.000 obywateli szwajcarskich. Towarzystwa ochrony zwierząt zakrzętały się żywo koło petycyi i w niedługim czasie miała ona 80.000 podpisów. Głosowanie powszechnie odbyto 20. sierpnia b. r. Za prowadzeniem zakazu rytualnego rzeźnia bydła do ustaw konstytucyi Związku szwajcarskiego oświadczyło się 187.000, a przeciw 112.000. Tym sposobem w całej Szwajcaryi zaprowadzony został zakaz rytualnego rzeźnia i naród sam się oświadczył za tem, że taka praktyka niema nic wspólnego z ustawą wyznaniową.

*J. Lim.*

## **M r ó w k i.**

Dziwny zdumiewający ród mrówczy w ostatnich czasach znowu zaprzętał uwagę wielu przyrodników. Rozum i rzeczywista inteligencya tych stworzonek, ich uspołecznienie całkiem zorganizowane, ich budowle spiętrzone, czyli ich mrowiska, muszą budzić podziw ogólny. Z życia ich dochodzą nas też coraz nowe szczegóły, którym na razie wiary dać nie sposób. Wiemy, że przedsiębiorą one naprzykład formalne wyprawy wojenne, że pobijwszy inny mrówczy obóz, zabierają wrogowi drobne jego dzieci i wychowują je na swoich niewolników, obowiązanych spełniać ich rozkazy i pracować wedle ich wskazówek, że gości przyjmują w domu i raczą ich, częstują, że wreszcie hodują cały szereg domowych zwierzątek, jak my hodujemy bydelko, ptactwo, konie itd. Nie koniec na tem. poświęcają się własnowolnie dla dobra ogólnego, po obywatelsku. Mrówki „miodowe“ w Meksyku naprzykład, pozwalają sobie przez ogół mrówek wpakować w organizm tyle miodu, że aż skóra na nich się wydmie, i w tym stanie jedna przy drugiej sterzą nieruchomie na ustroniu, czekając aż przyjdzie pora nieurodzaju i głodu mrówczego. Wtedy głodni współobywatele mrówczego rodu przychodzą do nich, niby do spiżarni jakiejś, naciskają jeden z żywych rezerwuarów miodu i raczą się, wysysając miód do ostatniej kropelki.

Jest rzeczą pewną, że i rolnictwem mrówki zajmować się potrafią. Jest naprzykład roślina „*Aristida stricta*“, której nasienie dokola swej siedziby mrówki chętnie rozsypują, czy też może gubią przypadkiem. To jest jednak pewnem, że jak tylko „*Aristida*“ kielkować zacznie, wnet wszystkie rośliny dokola niej będące, mrówki wygryzają i usuwają na stronę, zapewniając tym sposobem wzrost i plon ulubionej rośliny obfitszy.

Choćbyśmy atoli cały szereg znanych już z życia mrówek faktów przytoczyli, nie wyczerpiemy materyi, każda bowiem obserwacja nowy fakt ciekawy z życia tych stworzeń przynosi. Więc teraz naprzykład świeżo zostało stwierdzone, że niektóre mrówki hodują zupełnie *per modum* ogrodników ulubione jarzyny.

Od pewnego już czasu zauważono, że pewien gatunek mrówek odbywa następujące operacje z roślinami, które chce przyswoić. Gromadnie idą mrówki w stronę, kędy dana roślina się znajduje, wycinają kawałki liścia jej na pół lub ćwierć cała średnicy i niosą go niby parasol, wspólnemi siłami do swej siedziby. Z takim ciężarem trudno byłoby im ciągnąć przez pole, o ile ono trawą jest porosłe, zatem artykuł drugi: wśród trawy inne mrówki urządzają trakt, wycinają żdźbła trawy równo przy ziemi i usuwają je na stronę. Tak powstaje droga, która później wygląda się bieganiem po niej milionów mrówek. Jeżeli teraz rzuci się okiem podczas transportu listków owej rośliny na tę drogę, wygląda ona tak, jak gdyby jakiś dziwaczny wąż zielony pełznął wśród trawy, tak zbitym szeregiem ciągną mrówki, dźwigające listki danej rośliny. Naturalista Alfred Möller obliczył, że objuczona w taki sposób mrówka, potrzebuje godziny i minut dziesięciu na przebycie drogi długiej na 26 metrów.

Niemniej zdumiewającemi są podziemne roboty tejsze małej mrówki. Hamlet Clark, angielski naturalista odkrył, że pod łóżyskiem rzeki Parahyba w Rio de Janeiro, mrówki formalny tunel przekopały i na przeciwległym brzegu rzeki urządziły sobie magazyn żywnościowy. Rzeka Parahyba jest w tem miejscu głęboka i ma blisko pół kilometra szerokości. Wszystkie te roboty, mrówki wykonywują bajecznie zręcznie i szybko. Jeden z naturalistów, który mrówkami bardzo się zajmuje, dr. Ellendorf, zauważywszy procesję mrówek obładowanych listkami, o których wyżej była mowa, położył im w poprzek drogi długi kloć drzewa. Mrówki nie były w stanie z ciężarami swojemi wdrapać się na tę zaporę i cała karawana utknęła. Po bezowo-

enej bieganinie w jedną i w drugą stronę, te mrówki, które były najbliższej zapory, zrzuciły ciężary i poczęły kopać tunel. W pół godziny tunel ten był już gotowy i włożywszy na barki napowrót swe ciężary, mrówki tryumfalnie tunelem tym pociągnęły w dalszą drogę. Wszystko to w jak największym, wzorowym porządku. Tenże naturalista zauważył, że przed pochodem takiej karawany biegnie jej traktem tam i z powrotem, rozglądając się do koła, gromadka mrówek niezem nieobjuczonych, to jest policja mrówcza, która przepatruje, czy droga jest pewna i wszystko, co ją utrudnia, jak suche listki, żdźbła słomy i t. p. zapory na bok usuwa.

Ciężary, jakie te stworzenia dźwigać mogą, są po prostu olbrzymie. Pewnego razu 19 mrówek ciągnęło 130 miligramów, innym razem 17 mrówek dźwigało aż 1075 miligramów, co w stosunku z wagą samych mrówek wyraża się 1 : 9, w której 1 jest wagą mrówek a 9 wagą ciężaru.

Alte pytanie, w jakim celu mrówki sprowadzają takie transporty ziela do swych siedzib? Niektórzy przypuszczają że na pokrycie jakoweś swych siedzib, na ich osłonę i t. p., inni, że na pokarm je wprowadzają. Obadwa poglądy są mylne. Naturalista Möller stwierdził, że one używają owych liści i t. p. jako nawozu, dla użyźnienia ziemi, na której prowadzą swe plantacje! Przekonywa o tem fakt, że do samej siedziby, zielska tego mrówki nie wprowadzają, ale że pocięte drobniutko układają je na tej właśnie przestrzeni, gdzie hodują rośliny i to przeważnie grzyby. Proste rozejrzenie się przy pomocy lupy w ogrodzie mrówczym, pozwala dostrzedz maleńkie wypukłości pleśni  $\frac{1}{4}$  do  $\frac{1}{2}$  milimetrów średnicy mające. Są to grzybki, będące ulubionem mrówek pożywieniem. Otóż grunt, na którym owe grzybki wyrastają, użyźniają mrówki owymi pociętymi, a raczej na miazgę startymi liśćmi, które już mają w swych komórkach zarodki grzybów i te w przyjaznych okolicznościach wnet poczynają wyrastać.

Nie koniec na tem. Mrówka wie, że wszelka roślinność tamuje rozwój ulubionych jej grzybków, więc młodsze pokolenie mrówek ma pieczę nad tem, aby w ogródku grzybowym żadna inna roślina, żadne zielsko się nie rozwinęło i niech tylko gdzie kielek zielska się pokaże, wnet zostanie przez te małoletnie mrówki wypielonym. Zupełnie jak wśród ludzi! I niech czynność ta zostanie zaniedbana, niech te mrówki zostaną usunięte z ogród-

ka, wnet porastają w nim inne pleśnie i grzyby i przygłuszają rozwój tamtych, mrówkom miłych i przez też mrówki umiejętnie hodowanych. Rzecz ta wielokrotnie stwierdzoną została.

Kto nauczył te stworzenia tak skomplikowanych czynności ogrodniczych? Nikt. Powie kto i w porę może, o celowości w naturze: zapewne, ale i sama celowość jeszcze nie jest ostatniem słowem i też znak zapytania przy niej postawić można. W życiu drobnej mrówki, spotykamy się ze zjawiskami, które pomimo swej skali, budzą to samo zamyślenie i ten sam podziw, co najwspanialsze zjawiska w przyrodzie. Drobna mrówka wyszukuje materiały do budowy mrowiska, buduje mrowisko z planem, stwarza cały labirynt, w którym żyje w stanie zupełnego uspołecznienia, a teraz oto przekonywamy się, że się zajmuje systematycznie uprawą roli i ogrody zakłada...

Johna Lubbocka tomik niewielki p. t. „Piękność przyrody i cuda świata, na którym żyjemy“, poleca się najgoręcej pamięci popularyzatorów, tłumaczy i wydawców. Do najejkwszych rozdziałów książeczki należą te, które traktują o gminach mrówczych. Badał je znakomity uczony angielski przez lat kilkanaście.

Europa — pisze Lubbock między innymi — zna od 30-tu gatunków mrówek. Większość ich badałem, pomieściwszy poprzednio w ograniczonej przestrzeni. Życie tych owadów trwa stosunkowo długo. Między innymi znałem mrówki robotnice, żyjące po 7 lat, a jedna z królowych mrówczych, panowała w swoim gnieździe przez lat 15. Gmina mrówcza składa się, prócz młodych, z samców darmozjadów, z robotników bezskrzydłych i jednej lub dwóch królowych-matek, obdarzonych z początku skrzydłami, które porzucają następnie jako bezużyteczne, po złożeniu bowiem jajek nie wychodzą już z gniazda. Robotnicy budują kunsztowne komnaty wewnątrz mrowisk, kopią tunele i wznoszą baszty, pielęgnują wreszcie dziatwę, rozmieszczoną w mrowisku według wieku.

Gminy mrówek często bywają ogromne, liczą bowiem niekiedy po pół miliona przeszło mieszkańców. Można przyjąć za zasadę stałą, iż nikt nigdy nie dostrzegł kłótni pomiędzy członkami jednej gminy, gdy jedna gmina z drugą żyje jak pies z kotem. Próbowaleem przeprowadzać mrówki z jednego gniazda do drugiego. Natychmiast jednak atoli mieszkańcy napadali na intruzów gromadnie i wyrzucali na zewnątrz gniazda bez pardonu.



Widocznie mrówki z jednej i tej samej gminy rozpoznają się z łatwością. Często dzieliłem gniazdo na dwie połowy. Choćby podział przymusowy trwał rok, dwa, mrówki poznały się natychmiast po usunięciu sztucznej przegrody i przyjacielsko witały się po długim niewidzeniu. Te same mrówki, wprowadzone w przymusowy stosunek z mrówkami innych gniazd, wypowiadały im wojnę zaciętą.

Przypuszczałem, iż mrówki, należące do jednej gminy, rozpoznają się po jakichś znakach lub „hasłach“. Aby się o tem przekonać, starałem się pozbawiać mrówki zmysłów. Z początku używałem chloroformu, ten jednak okazał się dla owadów zabójczym. Wówczas postanowiłem upajać mrówki, co mi przychodziło z trudnością, żadna bowiem nie chciała się upić aż do utraty zmysłów. Wziąłem wreszcie kiedyś 50 mrówek, 25 z jednego, tyleż z drugiego gniazda, spoilem je jak bele, przez zanurzenie na kilka sekund w wódecie, oznaczyłem pierwsze farbą czerwoną, drugie zaś niebieską, położyłem całe pijane towarzystwo na stole, otoczonym rowkiem z wodą, aby mi się owady nie porozlazily. Obok umieściłem kilkanaście mrówek trzeźwych, wziętych z pierwszego gniazda. Te ostatnie były z początku zdumione stanem swoich towarzyszek. Po chwili jednak zabrały się do pracy; wysortowały mrówki jak najstaranniej, pijane mrówki z obcego gniazda, powłokły do rowka z wodą, gdzie potopiły je co rychlej, swoje zaś pozabierały na grzbiety i najtroskliwiej odniosły do gniazda, gdzie pijaczki wyspać się mogły po bachanali. Widocznie więc poznają się mrówki bez żadnych znaków, czy „hasel“.

Istnienie gmin osobliwego ustroju, każe przypuszczać, iż mrówki mają pewne sposoby porozumiewania się wzajemnie. Gdy jedna mrówka znajdzie gdzieś zapasy żywności, cała gmina wkrótce trafi na właściwą do nich drogę. Pewnego dnia chłodnego, gdy prawie wszystkie moje mrówki siedziały w gnieździe, a jedna tylko szukała łupu w odległości 6 ciu stóp od mrówiska, wziąłem martwą muchę, przekłułem ją szpilką i przyszpiliłem do korka. Mrówka znalazła wkrótce muchę i starała się ją odnieść do gniazda. Ale ciężar korka był za wielki. Mrówka tedy, wytermosiwszy muchę coniemiarą, puściła się pędem do gniazda, po upływie zaś pół minuty powróciła w towarzystwie 12-robotnic, które wspólnymi siłami oderwały muchę od korka i powłokły ją z tryumfem do mrówiska. Widocznie więc mrówka pierwsza po-

rozumiała się nader szybko z pozostałymi, a wezwwała pomocy skutecznie. Kilkakrotnie zdarzyło mi się stwierdzić własnymi doświadczeniami fakt, iż mrówki w razie potrzeby prowadzą swoich towarzyszy na miejsce wskazane.

Jak to już zauważył Huber, niektóre gatunki mrówek wprowadzają inne w stan niewolnictwa. Jeżeli gmina zmienia gniazdo, o czem najczęściej decydują niewolnicy, wówczas ci ostatni przenoszą swych panów na grzbietach. Niekiedy odkopywałem gniazdo mrówek z gatunku *formica fusca*. Wszystkie biegały tu i ówdzie, jakby szukając schronienia. Brałem wówczas na koniec kija kilkanaście owadów i przenosiłem je na odległość kilku stóp. Gdy mrówki zauważyły liezbną stratę, puszczaly się wówczas na wędrownkę około gniazda. Każda z nich spotkawszy dezentera, brała go na grzbiet i wlokła do mrowiska, Pracę tę zadawały sobie nieustannie, dopóki wszystkie bez wyjątku mrówki nie znalazły się pod jednym dachem. Pokazuje się więc, że mają one instykt potrzeby utrzymywania swej gminy w całości, z drugiej jednak strony widocznem jest, że sposoby porozumiewania się pomiędzy mrówkami nie są zbyt obfite, skoro w większości wypadków mrówki, miast perswazji, uciekają się bezpośrednio do radykalnego sposobu zabierania towarzyszki na grzbiet własny.

Niektóre mrówki z klasy pracujących, stały się tak zależnemi od niewolnic, że niekiedy umierają z głodu, leżąc na zapasach żywności, jeżeli niema w pobliżu niewolnicy, któraby im pokarm do pyszczka wkładała. W każdym razie nie są one wymagające. Lubbock zauważył, iż dostatecznem jest wpuszczanie do odosobionej mrówki raz jeden na tydzień niewolnika, który panią swoją czyści i karmi.

Są mrówki, które mają u siebie zwierzęta domowe. Badania nad życiem wewnętrznem tych owadów są wiece utrudnione, można jednak twierdzić z pewnością, iż mrówki mają tych „zwierząt domowych“ kilkanaście odmian. Najważniejsze z nich i najpożyteczniejsze — to mszyce — (*aphis*). Spełniają one u mrówek najzupełniej te same funkeje, co u ludzi krowy. Jedne gatunki mrówek utrzymują mszyce na drzewach, gdzie wysysają soki z liści na użytek mrówczego rodzaju, inne znów mają u siebie w gniazdach krowiarnie, gdzie mszyce pasą się w domu i wydzielają masy nader smakowitego dla mrówek miodowego soku. Nie dosyć na tem. Mrówki nie tylko hodują mszyce, ale zbierają

ich jajka na jesieni i troskliwie przechowują przez zimę aż do wiosny.

Niektóre owady, oswojone przez mrówki w charakterze zwierząt domowych, wskutek ciągłego przebywania pod ziemią, oślepyły całkowicie.

*Kur. Lw.*

## Rozmaitości.

**Giełda na dzikie zwierzęta.** Kaprysy mody dają się odczuwać w dziedzinach, w których najmniej możnaby się ich spodziewać. Niewytlómaczone zmiany w gustach publiczności wywołują na rynku dzikich zwierząt nagle hausse'y i baisse'y. Ostatnimi czasy hippopotamy tak dalece podskoczyły w cenie, iż osiągnęły powyżej 25,000 franków od sztuki. Girafy dochodzą do cen bajecznych; ostatnia, jaską wyprawiono do Ameryki południowej, została sprzedana za 27,000 fr. do ogrodu zoologicznego w Rio de Janeiro. Przed laty dziesięciu, girafa w tymże wieku i tej wysokości, kosztowała 1500 fr. najwyżej. Najwyżej notowanym obecnie na rynku zwierzęcym jest nosorożec o dwóch rogach. Na całej kuli ziemskiej jest zaledwie kilku finansistów, którzyby mogli pozwolić sobie na podobne kupno. Natomiast małpy straciły na cenie. W zimie z trudnością znajdują nabywcę po dziesięć franków od sztuki. Z wiosną wartość ich się zwiększa, nie przewyższa jednak 35 franków. Odkrycie p. Garnier o języku małp nie wywarło żadnego wpływu na wartość handlową tego gadającego zwierzęcia. Gady są także w niełasce. nikt nie kupuje węzów, krwiożerczych boa itd. Lwy, tygrysy, lamparty, pantery i niedźwiedzie są w cenie. Pierwsze osiągnęły od 3 do 5 tysięcy franków, tygrysy płacone bywają 2500 fr., lamparty po 750 fr., biały niedźwiedź z pod Północnego bieguna płaci się 1000 fr., zwykły szary, jeśli nie ma żółtego pyska, niedźwiedź osiąga 250 fr. zaledwie, w przeciwnym razie dochodzi do 500 fr. Przed laty trzydziestu pewien Włoch, nazwiskiem Casanova, wyładował w Hamburgu z transportem dzikich zwierząt. Pierwszy to spekulant, który włożył w to przedsięwzięcie znacznieszą sumę. Próba nie dała zbyt świetnych rezultatów. Casanova miał wiele trudności ze sprzedażą swego żywego towaru i zbył go hurtownie za niską cenę słynnemu podówczas w Niemczech cyrkowi Kreutzburga. Obecnie import dzikich zwierząt stał się zyskowną gałęzią przemysłu. Dwie wielkie firmy w Liverpoolu i Hamburgu, które mają monopol w tym handlu, rzucają co roku na rynki europejskie tysiące dzikich zwierząt i utrzymują agentów na wszystkich punktach kuli ziemskiej.

Handel jednak tym towarem jest nie tylko niebezpiecznym, lecz i ryzykownym, ze względu na wysokie koszty przewozu. Dla wyżywienia karawany, złożonej z giraf, wielbłądów, lwów, lampartów, hien,

małą i antyIop, którą p. Casanova prowadził w r. 1870 do Suakimu, potrzeba było zaopatrzyć się w 120 wielbłądów, dźwigających torby skórzane z wodą i w sto kóz. Te ostatnie służyły za pożywienie drapieżnikom, a także jako mamki dla młodych lwiattek. W drodze z Kasala do Suakimu, pomimo takiej pieczołowitości, padło bardzo wiele dzikich zwierząt, nie znoszą one bowiem trudów podróży, zwłaszcza na wodzie. Słonie podczas przeprawy okrętowej dostają zawrotu głowy, chwieją się na nogach, jak małe dzieci, a gdy upadną, najczęściej nie powstają już więcej. Nienasycony ich apetyt znika, przez cały czas podróży cierpią strasznie na morską chorobę i nie chcą przyjmować pożywienia. Z liczby 40-tu wielbłądów, które Casanova prowadził z Suakimu do Tryestu przez kanał Sueski, zaledwie 13 dojechało żywych.

Struś, przyzwyczajony do przeżuwania kamieni, nie doznaje morskiej choroby, lecz długie nogi tego ptaka są tak chwiejne, iż nie mogą wytrzymać gwałtowniejszego kołysania się statku. Z 42-ch strusiów, sprowadzonych przez p. Hagenbeck z Hamburga, w przeprawie przez morze Czerwone, podczas burzy, 33 tych drogocennych ptaków połamało nogi.

Nosorożce znoszą dzielnie podróż po wodzie, lecz na lądzie są nadzwyczaj płochliwe.

P. Rajmund Blathwagt, współpracownik czasopisma „Mc Clure's Magazine“, z którego czerpiemy te szczegóły, miał sposobność podczas pobytu swego w Hamburgu zwiedzić maneż, w którym pp. Hagenbeck i Mellermann udzielają lekcji swoim młodym uczniom czworonożnym. Oczom reportera przedstawił się widok, przywodzący na myśl ogród Edenu.

Lwy żyły w najlepszej przyjaźni z jagniętami; słonie, lamparty tygrysy bratały się z psami i kozami. Przyzwyczajone do obcowania od lat najmłodszych z ludźmi, którzy obchodzą się z nimi nadzwyczaj łagodnie, i z rozmaitemi zwierzętami, drapieżniki pozbywają się wrodzonego okrucieństwa i z wielkiem posłuszeństwem odbywają nakazywane im ćwiczenia. Różnice inteligencji pomiędzy tymi uczniami są nieznaczące. P. Hagenbeck za rzecz rozpowszechnioną przesądowi, jakoby słonie azyatyckie były zmyślniejsze od afrykańskich. Jedne i drugie bardzo zrecznie wykonują sztuki, których się wyczuły z łatwością jednaka. W świecie uczonych zwierząt samice nie ustępują samcom, a tygrysięta są równie pojętne, jak i młode lwiatka. Niesłusznie pomawiają tygrysy, zamknięte w klatkach, o krwiożerczość. Przywiązują się one do swych panów, na równi z innymi zwierzętami, a czasami nawet bardziej.

Mali debiutanci ze szkoły początkowej wykonują łatwe sztuczki. Uczą ich siadać na stołkach, obchodzić naokoło arenę w takt muzyki. Podczas lekcji rozlega się wciąż świst bata, lecz tylko dla formy, bo łagodność wraz ze stanowczością są pierwszymi warunkami powodzenia przy tresurze. Aby osiągnąć rezultaty dodatnie z wychowania dzikich zwierząt, potrzeba: muzyki, cukru i cierpliwości niespożytej.

Po dwuletnich studiach przygotowawczych, wychowawcy zakładu hamburskiego przystępują do trudniejszych ćwiczeń. Lew uczy się stać lekko na tylnych łapach na galopującym koniu i wykonywać sztuki, jakimi popisują się wolteżystki. Tygrys jeździ na trycyklu. Po każdej takiej sztuce artyści otrzymują w nagrodę słodycze. Jeden tylko niedźwiedź, jako wirtuoz z zamięłowania, nie potrzebuje takiej podniety; zadowolenie wewnętrzne mu wystarcza. Jedyne zwierzęciem uczonem, którego instynktów tresura poskromić niezdolna — to pies. P. Mellermann raz jeden tylko w ciągu długiej swojej kariery poskramiacza był pokąsany. Pewnego dnia chciał przerwać zażartą walkę pomiędzy psem i tygrysem — nie tygrys, lecz pies naznaczył go zębami.

Ten P. Hagenbeck, najwybitniejszy dostawca dzikich bestyj do ogrodów zoologicznych świata całego, ogłosił świeżo w Hamburgu cenik swoich towarów. Okazuje się z tego cennika, że porządek hipopotam kosztuje na miejscu w Hamburgu 25.000 marek, tapir indyjski 12.000 marek, lew średniej wielkości tylko 5000, słoń od 6000 do 12 000 m. Węże spadły w cenie; te, za które niegdyś płacono 150 250 m., dostać można okecznie za 50 m. Amatorowie niech się spieszą z zamówieniami! Jeszcze cyfr kilka Pantera 1000 do 1500 marek, niedźwiedź biały mniej więcej 1000 m., tygrys 3 do 4000 m. Najdroższem zaś zwierzęciem menażeryjnym jest w chwili obecnej girafa. P. Hagenbeck zaznacza w przepisku, że udało mu się nabyć girafę jedną jedyłą za 27 000 marek! Za ile ją sprzeda — niewiadomo. A może kto z czytelników naszych ma girafę do zbycia? Pyszna chwila dla zrobienia świetnego interesu...

**Scena w menażeryi.** W Cahors, mieście francuskim w departamencie Lot, słynnem jako miejsce urodzin Gambetty, rozegrała się w tych dniach w menażeryi miejscowej straszliwa scena. Poskromicielka lwów, panna Masserini, weszła do klatki, aby jak zwykle, zmusić swych wychowañców do skoków przez płonące obręczce. Naraz młody lewek rzuca się na p. Masserini chwyta ją za prawą rękę i zatapia w niej zęby. Publiczność wydała okrzyk zgrozy, ale poskromicielka nie straciła ani na chwilę zimnej krwi. Przełożywszy spiesznie szpicrutę do lewej ręki, poczęła z całej siły okładać niesfornego ucznia, aż odpędziła go od swej prawicy. a poczęstowawszy go jeszcze paroma silnemi razami i zmusiwszy do przywarowania, opuściła klatkę najspokojniej z zakrwawionem wprawdzie ramieniem — ale wśród frenetycznych oklasków zebranych widzów.

**Rzadki gość kąpielowy.** Niespodziewanego zaiste towarzysza dostali kuracyusze w kąpielach św. Łukasza pod Budapesztem. Znajdują się tam kąpiele szlamowe, zbawienne w wypadkach podagry lub reumatyzmu. Jeżeli coś jest dobrem dla człowieka, dla czegoż niema być dobrem dla konia? — pomyślał sobie p. Szemera i posłał na kurację dwuletnią klacz wyścigową „Vigano“, cierpiącą na reumatyzm. Dla konia urządzono osobny basen, a sportsmani oczekują z niecierpliwością rezultatu kuracji.

**Długość życia zwierząt.** Angielski uczony Ray Lancaster, badając długość życia zwierząt, doszedł do bardzo ciekawych szcze-

gółów. Gąbka rzeczna (*Spongilla fluviatilis*) umiera po pół roku życia, pozostawiając pączki, z których rozwija się potomstwo. Morski ukwiał żył 40 lat w umyślnie urządzonej akwarium. Raki dochodzą do późnej starości. Karpie „porosłe mchem“ weszły nawet w przysłowie; szczupaki mają niekiedy do 40 funtów wagi, co właśnie wskazuje na długość ich życia. — Z ziemnowodnych stworzeń żaba żyje lat kilkanaście, żółwie częstokroć więcej. — Nad ptakami robiono bardzo wiele spostrzeżeń, z których przekonano się, że papuga, gęś, sokół i wrona żyją dłużej od innych; papuga np. może żyć do 120 lat, a sokół i wrona półtora wieku.

Ze zwierząt ssących najdłużej żyją wieloryby i słonie, bo w stanie normalnym przeszło sto lat. Średnia długość życia konia wynosi lat 25, jednak zdarza się czasami, że koń żyje do 40 lat. Woły i krowy żyją przecięciowo 15 do 20 lat, owce i kozy lat 12, lwy 20 do 50 lat, koty 9 do 18 lat.

**Dzielny pies.** W fejetonie tygodnika *Jeździec i Myśliwy* p. Konrad M. opowiada ciekawe szczegóły o swym psie Milordzie. Oto parę. Ów Milord... .. przesiadując często w kuchni, pojął, do czego węgle, zwłaszcza widząc, jak przy nich gotowano i dla niego jedzenie. Jednego dnia, gdy wracałem około południa do mieszkania, zastałem kucharkę, stojącą we drzwiach przedpokoju, naprzeciwko niej w sieni „Milorda“ wywijającego ogonem, a w środku pomiędzy nimi, na słomiance, sporą kupkę węgla. Zdziwiony, zapytuje, co to ma znaczyć i dowiaduję się, że kucharka, żartując sobie rano z „Milorda“, który domagał się jeść, powiedziała mu kilka razy: „niema węgla, niema, pies nie dostanie śniadania“, a następnie zajęła się jakąś robotą. Tymczasem „Milord“ wziął to na swój psi rozum, powędrował na miasto i w kilka godzin naznosił skądziś węgla, a potem tak długo dra-pał do drzwi i szczeakał, dopóki mu nie otworzyła“.

Ale najlepsza jest następująca awantura:

„Milord“, przebiegając raz koło sklepiku, na którego progu siedziało troje mocno zasmarkanych żydziątek, spojrzął, zatrzymał się i wszystkim po kolei poobliżywał nosy bardzo porządnie. Dzieci, rozumie się, w krzyk, stara żydówka także, wypadło więcej żydów i nuż wrzeszczeć: „Pan stójkowe! stójkowe! łapicz, zabicz tego pies, bo un wszczekle“. Powstał tedy harmider, przystanęło kilka osób, świadkowie tej sceny zaczęli się śmiać i żartować, żydzi jeszcze bardziej gniewać się i krzyżeć, wdał się w to i stójkowy, słowem zrobił się skandal, którego sprawca poszedł tymczasem dalej, z widocznym nawet zadowoleniem ze swego, jak musiał mniemać, dobrego uczynku.

Nazajutrz jednak mój służący, który był przy tej awanturze i niebacznie śmiał się z innymi, otrzymał rozkaz stawienia się w cyrkule razem z winowajcą; sklepikarz bowiem wniósł skargę, jak opiewała dosłownie: „o wszczekanie się, zapaskudzenie twarzy, Nr. 3, gębę, mordowanie dzieci, chorobę. wielgie przełękniecie sobie, zaturę w handel i różnych kosztów ze szkodem“.

Zabrał więc Walenty psa i zafrasowany stawił się w biurze. „Milord“ wbiegł najprzód do kancelaryi, a złapawszy po drodze czapkę

jakiegoś interesanta, która leżała na ławce i machając ogonem, stanął z nią przed urzędnikiem, któremu właśnie oskarżyciel, przyprowdziwszy dla lepszego efektu troje swych dzieci, opowiadał już o ich wczorajszem nieszczęściu.

— To un! ten galgan! Ten zbójnik! — zawołał żyd, zobaczywszy „Milorda“.

Urzędnik spojrział na psa, uśmiechnął się, poglaskał go po głowie, wziął od niego czapkę i zapytał skarżącego, czy to już wszystko.

— Ny? Co ma biec więcej? Czy on potrzebował ich pozjadacz?

Służący zaczął coś mówić na swoją i psa obronę, gdy w tem żydziętom — czy to z przymuszonego płaczu, którym popierały oskarżenie swojego taty, czy też z powodu kataru — nosy zaczęły widocznie przybierać, co spostrzegłszy „Milord“, podbiegł do nich i bez namysłu powtórzył z nimi bardzo zręcznie wczorajszą operację.

Tu już nie mogła ostać się nawet powaga urzędowa i cała kancelarya, wszyscy obecni głośnym wybuchnęli śmiechem, czem zachęcony i ośmielony pies wskoczył na ławkę i nuż szczekać radośnie. Zacięty i krzykliwy dotąd oskarżyciel zmiarkował, że opinia zaczyna przeważać na stronę obwinionego. Liczył jednak jeszcze na ekspertyżę dwóch biegłych weterynarzy, z których jeden utrzymywał, że „Milord“ okazuje niebezpieczne symptomata antisemityzmu, skoro wywołuje na siebie skargi ze strony żydów, drugi zaś twierdził przeciwnie, że jest raczej dotknięty judofilstwem, ponieważ robi im przysługi. Gdy jednak, po głębokim namyśle i wywodach uczonych, zgodzili się obadwaj, że wściekłym to chyba nie jest, skarżący spuścił z tonu, przyjął zaprojektowaną zgodę i dostał rubla na chustki dla swoich bube, a mój służący otrzymał admonicyę, żeby się więcej nie ważył pozwalać psu na ucieranie nosów dzieciom, chociażby się nie wiedzieć jak zamorusały“.

**Amerykański karp.** Tygodnik *Wiara i Ojczyzna* wychodzący w Cleweland w Póinocey Ameryce, donosi co następuje:

Michał Thiermann mieszkający w New-Hope, spostrzegł od czasu, gdy nastalo cieplejsze powietrze, że jego cenne krowy wracały codziennie z napełnionemi żołądkami, lecz z próżnemi wymionami. Narreszcie powziął podejrzenie, że jeden lub drugi z sąsiadów doi krowy, póki są jeszcze na pastwisku i dla tego postanowił użyć wszelkich środków, aby odkryć złodzieja.

Krowy lubiły podczas upału stać w pobliskim strumieniu w wodzie aż po brzuchy.

W środę gdy Thiermanna ulubiona krowa wychodziła z wody, spostrzegł, że do jej wymiona był przyczepiony karp, ważący może 15 funtów, który mleko do ostatniej prawie kropli wyszał.

Diennik ów podaje tę wiadomość jako zupełnie prawdziwą i zapewne znalazł wielu łatwowiernych, którzy uwierzyli w to zamiłowanie amerykańskiego karpia do krowiego mleka.

**Wielbłąd jako inwentarz rolniczy.** Wielkie zainteresowanie nietylko wśród rolników ale i wśród szerszej publiczności wzbudza projekt p. Bochwica obywatela ziemskiego z pow. nowogrodzkiego, za-

prowadzenia czyli raczej zaaklimatyzowania w naszych stronach wielbłądów jako siły pociągowej. P. Bochwic wystąpił w dzienniku wydawanym przez mińskie Towarzystwo rolnicze z obszernym referatem, gdzie wykazuje znaczne korzyści, jakie z użycia wielbłądów w zastępstwie koni i wołów otrzymać można. P. Bochwic dowodzi, iż wielbłąd z łatwością tutejszą zimę wytrzyma, bo przecież w niektórych guberniach wschodnich, więcej ku północy wysuniętych jak np. permska, wielbłądy są powszechnie używane, pomimo, iż zimy b. tam o wiele ostrzejsze, niż nasze.

Wielbłąd podczas zimy przebywa tam podobno pod gołym niebem. Uwzględniając zaś jego siłę i wytrzymałość na trudy, niewybredność w karmie itp. p. B. dochodzi do wniosku, iż zbawieniem dla tutejszych rolników wielbłądy być powinny, bo choć na razie drożej stosunkowo od koni kosztują, niemniej jednak sownie wszelkie koszty następnie opłacają, bo jeden wielbłąd kilka koni lub wołów zastąpić może. Nawet za skórę wielbłąda znaczne pieniądze wziąć można. Aby się przekonać samemu i innych nakłonić do tego w razie powodzenia, p. B. sprowadza 13 wielbłądów z gub. antrachańskiej od tamecznych Kalmuków. Zwierzęta te już są w drodze i lada dzień zjawią się w naszych okolicach, ku wielkiemu zdumieniu tutejszej ludności i przerażeniu koni i bydła, do widoków podobnych słowem nie przyzwyczajonych. Widok wielbłąda nie jednego zapewne konia spłoszy, i stąd wypadków należy oczekiwać. W dodatku p. B. nie uwzględnia wcale, iż przedewszystkiem wielbłąd przywykły jest do klimatu suchego, kontynentalnego, i że z trudnością znosi wilgoć, a po błocie literalnie chodzić nie może. A nasze wiosny i jesienie obfitują w deszcze, droga błotnista zaś nowiną nie jest.

Czy więc wielbłąd okaże się pożytecznym przy podobnych warunkach? Pytanie to rozstrzygnie się w niedalekiej przyszłości, tymczasem życzymy p. B. powodzenia w przedsięwzięciu. Najniepraktyczniejsze z pozorów projekta uiespodziewanie nieraz okazują się dobre i zastosowanie szersze mają. Próby z wielbłądami czynić też ma i jeden obywatel z gub. grodzieńskiej, który równocześnie wpadł na podobny oryginalny pomysł

### Od Redakcyi.

Spis alfabetyczny wszystkich członków z roku 1893 umieścimy w pierwszym numerze następnego rocznika, przytem upraszamy raz jeszcze P. T. Członków, którzy zalegają z wkładkami za rok 1893 (względnie 1892) o rychłe uiszczenie takowych, bo według nowego statutu Walne Zgromadzenie, któremu muszą być rachunki przedłożone, będzie z początkiem roku 1894. zwołane.

Starym zwyczajem życzymy wszystkim naszym Czytelnikom, Członkom Towarzystwa i Obrońcom zwierząt, by szczęśliwie rozpoczęli Rok Nowy — i by tenże upłynął im w niezamąconym spokoju i pomyślności

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stan. Baylego.

